

Kronika tygodniowa.

Powiedział swojego czasu pewien mądry pan, nazywał się podobno Montecucculi, że chcąc prowadzić wojnę, trzeba mieć do tego trzy rzeczy, to jest pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze. Na to zgodził się potem i Napoleon, a w ostatnich czasach i Austrię, która jedynie z tego tylko powodu ogłosiła ośm pożyczek wojennych. Miała zamiar doprowadzić do tuzina, a jeśli się tak nie stało to już nie jej wina, gdyż chęci miała najlepsze, ale fatalnego zbiegu okoliczności. Wartość pieniędzy zna najlepiej ten, kto ich nie ma.

Zupełnie tego samego zdania co pan Montecucculi i Napoleon, choć nie ze względów strategicznych, jest i moja najdroższa (ch.ć odstąpiłbym ją nawet niżej własnych kosztów!) Weronika. Powiada stale, że, chcąc urządzić sobie bodaj jakiegakolwiek święta, trzeba także trzech rzeczy, to jest pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Ale, skąd je wziąć, o to ją głowa nie boli, bo wie, że mąż, jako głowa domu, ma obowiązkiem stać się o to, aby żona miała co wydawać.

— Dawaj, bo potrzebuję! — to jej zwykła śpiewka.

Na tem kończy się nasza rozmowa, w konsekwencji przecież nie pozostaje nic innego, jak myśleć dotąd nad postaraniem się o marną monetę, aż się ją w jakiś sposób wydobędzie. A to nie przychodzi tak łatwo. Mamy wprawdzie obecnie w Krakowie prawdziwą giełdę, która codziennie ogłasza w naszych piśmiech swe „cednity“, ale też zwykły śmiertelnik ma tylko tyle z niej pożytku, że je czyta, nie tam bowiem nie dostanie. Dobrze przynajmniej, że istnieje jeszcze „czarna giełda“ obok kościoła świętego Wojciecha. Tam się prędzej może człowiek poratować, choć i tutaj, dzięki wojnie, niema żadnego ożywienia (usposobienie mdłe) i co chwila słyszy się wyraz „moratorium“.

Ostatni tydzień przed świętami, tak zwany wielki tydzień, jest więc w samej rzeczy wielkim, gdyż każdy ojciec rodziny ma wielkie kłopoty i śpiewa naprawdę gorzkie żale, najpierw, że się wogóle urodził, potem, że się ożenił, a wreszcie, że mu brak pieniędzy. Ponieważ zaś takich, którzy lekkomyślnie popełnili te trzy głupstwa nie do darowania, jest stosunkowo bardzo wielu, nie też w tem dziwnego, że nastrój w ostatnim tygodniu przed świętami jest poprostu pod psem i to pod zdechłym!... I nie dziwię się bynajmniej, że w tym okresie tak się zawsze mnożą włamania do różnych kas, gdyż jestem pewny, że przynajmniej w połowie wypadków należy szukać sprawców między tymi nieszczęśliwcami, którym żony kazały się starać o pieniądze na święta. Podobno po ostatnim włamaniu do domu bankowego Raczyńskiego w Ryńku głównym (jasny dowód, że był to jakiś „lepszy“ złodziej, skoro operował w śródmieściu...), znaleziono uroniony przez któregoś ze sprawców spis, sporządzony niewieleścią ręką, co ma kupić. Wyobrażam sobie, w jakim on teraz jest kłopotcie, mając pieniądze, a nie wiedząc, co ma nabyć.

W zupełnie odmiennym stanie (ale proszę tego przypadkiem nie brać zbyt dosłownie!) jest kronikarz, który wiedziałby, co kupić, ale nie wie, za co.

Przypniemy jednak, że okoliczności tak się szczęśliwie złożyły, że w jakiś dziwny sposób jest się, choćby nawet drogą spadku po wujaszku z Ameryki, posiadaczem pewnej kwoty, mogącej wystarczyć nawet we wojennym czasie na urządzenie sobie święconego, widzi się człek dopiero zupełnie bezradnym bo, choć miałby kupić za co, dopiero teraz nie wie, gdzie i co! Kłopot więc nie mieć pieniędzy, ale dziś również nie należy do przyjemności mieć je.

Wiadomo zaś zapewne każdemu z doświadczenia, że święta Wielkiejnocy połączone są nierozdzielnie z trzema rodzajami artykułów spożywczych, należących do działu a) jaj i świąskiego ciała pod różnemi postaciami (nie wykluczając naturalnie i innych mięs), b) słodyczy (ziemskich nie niebieskich!) i c) wszelkiej trunkowości, mającej stanowić *antidotum* na różne przypadłości żołądkowe, jakich się przeciętny śmiertelnik na pociechę lekarzy i aptekarzy w tym czasie nabawia.

Jak zaś łatwo dziś, po skończeniu się wojny i w przededniu zawarcia pokoju, o to wszystko, wie chyba każdy.

Jaj, niezbędnie potrzebnych do składania sobie życzeń, jak już w poprzedniej kronice nadmieniliśmy, zupełny brak, spowodowany opieszałością kur, zaniedbujących się w wykonywaniu swych obowiązków. Jajo to dziś taki rarytas, że na coś podobnego może sobie pozwolić chyba jakiś paskarz, zwykły zaś śmiertelnik, w szczególności zaś literat lub dziennikarz, może tylko śnić o niemu, lub wspominać o tem, jak smakowało przed wojną, gdy było i większe i kosztowało zaledwie dwa centy.

Z jaj na radzie familijnej, jaka się odbyła w poniedziałek wielkiego tygodnia, zrezygnowaliśmy jednogłośnie, chowając sobie tę przyjemność na rok przyszły, o ile się naturalnie tymczasem poprawią stosunki, co jest bardzo wątpliwem, gdyż znowu wyłoniły się jakieś nowe, a nieprzewidziane trudności, które zmuszają konferencję pokojową do opóźnienia ostatecznego rozstrzygnięcia.

Jeszcze gorzej, niż z jajami, bez których można sobie na upartego życzyć i to nawet bardzo serdecznie, było z przetworami świąskiego ciała, czyli tak zwanymi wieprzowymi delikatami, jak szynki, poledwice, ozory, rulady, kielbasy, wędzonki... (wyliczam je umyślnie, aby narobić P. T. Czytelnikom apetytu!) A świąt bez nich nawet wyobrazić sobie nie można.

Na dwa tygodnie przed świętami zaczęły ceny ich iść gwałtownie w górę, na co nawet magistrat zaczął patrzeć przez palce, ostatecznie, gdy ludność zaczęła się upominać o swe prawa i przyjęła groźną postawę, zdecydowali się jasnie wielmożni panowie masarze na oświadczenie, że przez dwa tygodnie nie podniosą ceny i będą sprzedawać swój towar wedle taryfy maksymalnej.

I ogarnęła radość serca ludzkie, ale tylko na bardzo krótki czas, bo oto spełniło się, co powiedział filozof: „Obiecał pan kozuch, ciepłe jego słowo!“ Pokazało się, że wędlin brak, wprost się ich nie kupi, ale można się w nie zaopatrzyć paskarską drogą, to jest po cenach daleko wyższych, niż je stanowi taryfa maksymalna. Gdyby to Ameryka prócz smalcu i słoniny była nadesłała bodaj kilka wagonów szynki i kielbas na święta! Ale, kto wie, czy i wtedy dostałoby się nam co, zwłaszcza, że żydzi w ten sposób pojmują asymilację, że bardzo chętnie jedzą wieprzową szynkę, w nas wmawiając, że nam to może wyjść tylko na zdrowie, gdyż nie pochorujemy się z obżarstwa, a wiadomo każdemu, że chorować to i niezdrowo i dużo kosztuje. W rozdziale smalcu amerykańskiego, nie sobie nie robiąc z rytualnych przepisów, partycypowali też bardzo skwapliwie, ale tylko po to, by go zaraz puścić „w pasek“.

Koniec końców, przyszła rada familijna do przekonania, że w roku bieżącym należy zerwać z tradycjami i obejść się bez szynki i kielbasy, chyba, gdyby się znalazł jakiś pocztowiec i coś podobnego nadesłał w upominek, jako wymowny i smaczny dowód uznania kronikarskiej pracy.

Niestety, do wielkiej soboty nie nadeszły nawet telegramy, zwłaszcza tak pożądaną nowinę, mogącą podnieść serce i ducha i zarazem zaspokoić apetyt, trzeba się więc było obejść amakiem, co jednak bodaj o tyle wyszło na dobre, że po świętach nie trzeba myśleć o gorzkiej wodzie, której też brak. Bolszewickie Węgry powiedziały sobie, że same ją wypiją, nikomu nie dając ani kropelki. Niechaj im to wyjdzie na zdrowie, w bieżącym roku obejdziemy się najzupełniej bez ich łaskawej pomocy w tym kierunku.

Gdyby bodaj przeprowadzoną już była reforma agrarna w Sejmie polskim, na którą rozmsieli ludzie czekają z taką niecierpliwością. Kto wie, czy i na kronikarza nie wypadłoby pewne *maximum* (niechby nawet było i *minimum*!) roli, naturalnie z zabudowaniami gospodarskimi, lasem, stawem, młynem, gorzelnią, browarem i t. d. Wówczas miałoby się własne jaja i własne szynki i nie byłoby się zmuszonym kłaniać jasnie panom masarzom, plekarzom i innym paskarzom, owszem, oni kłaniali się nisko, aby pan dziedzic był im łaskaw co sprzedać.

Ale ja mam już takiego pecha, że choćbym nawet i został agrarusem *valgo* wozignojkiem, to tymczasem zmieniają się stosunki na gorsze i nie będzie można robić takich kokosowych interesów, jak się to jeszcze i dziś dzieje.

W dalszym ciągu przychodził kolej na omówienie doczesnych słodyczy, bez których nikt dawniej świąt sobie nie wyobrażał, więc: tortów, mazurków, placzków, jajeczników i bab różnego kalibru. Dziś i to wszystko należy już tylko do tradycji ze względu na ogólny brak mąki, cukru, jaj, tłuszczów i rozmaitych przypraw. Między tegoczesnym a dawnym stołem świątecznym ta różnica, że dawniej widziało się na stole baby różnej wielkości, wyglądu i smaku, lukrowane i nielukrowane, dokoła stołu zaś żywe baby z rozradowanymi obliczami, patrzące z tryumfem na dzieło swych rączek i zdające się mówić:

— A co?... Czy to nie arcydzieło?... Proszę, niech kto inny coś podobnego potrafi!

A dziś?... Patrząc na ten stół, dawniej uginający się pod śladami dobrobytu, a dziś przypominający swym wyglądem te okolice, gdzie gospodarowali Niemcy w imię zachodniej cywilizacji i kultury, poprostu aż się na płacz zbiera. Siedzą wprawdzie baby dokoła stołu, ale z jakimś skwaszonemi minami, na stole zaś niema bab, mazurków, jajeczników i t. d. Zwykły śmiertelnik, nie paskarz, chcący sobie pozwolić na podobny zbytek w obecnych czasach, bardzo łatwo, jako

niepoprawny marnotrawca, mógłby się dostać pod knratelę.

Na owej poniedziałkowej radzie familijnej zajmowaliśmy się i tą kwestją, ale pokazało się, że „jedynie praktyczne“ przepisy pieczenia ciast, zostawione nam w spadku przez ś. p. Cweterciakiewiczową, są jednak w obecnych warunkach zupełnie niepraktyczne, zaliczyć je można bowiem do rzędu bajek „z tysiąca i jednej nocy“.

Bo proszę tę księgę otworzyć w któremkolwiek miejscu, a spotka się zaraz na wstępie ze słowami: „Bierz się dwanaście jaj, pół funta świeżego masła, funt cukru...“ Artykuły to, nie dla każdego dziś dostępne. Ba, choćby nawet i były, to brak znów drożdży, a bez nich do operacji pieczenia zabierać się niepodobna.

W jednym z pism humorystycznych znalazłem przepis, dający się daleko łatwiej zrealizować. Brzmiał on jak następuje:

„Weź broszkę i kolczyki żony (o ile nie są jeszcze zastawione!), dodaj do tego swój złoty zegarek z łańcuszkiem (jeśli go masz!) i żonine fietro i zanies to do Kasy oszczędności. gdzie na parterze mieści się Zakład zastawniczy. Z otrzymaniem tam koronami idź do cukierni Maurzkiego, Michałika lub Noworolskiego i tam sobie kup, co ci się podoba“.

W rzeczywistości i ten przepis nie jest bardzo praktyczny, choćby się go bowiem chciało w pierwszej części wykonać zupełnie dosłownie i do lombardu zanosiło nawet i więcej, niż tam wymienione, druga część nie odpowie oczekiwaniom, za otrzymaną bowiem kwotę nie kupi nie tylko pulchnej, lukrowanej baby, ale wogóle nic, chyba jakiegoś gułotki, przypominającego dawne „mosiężne placki“, a ma'cego to do siebie, że leży w żołądku bodaj dwa tygodnie i nie ruszy go nawet bolszewicki „Hanyady Janos“.

W konsekwencji i ten punkt programu świątecznego spadł z porządku dziennego. Rada familijna powzięła jednomyślną uchwałę: „Ślodycze schowajmy sobie na niebo“ z moją poprawką: „albo na późniejsze czasy, o ile się tymczasem poprawią stosunki“.

Zresztą bez ślodyczy doczesnych można się łatwo obejść, a z powodu ich braku jeszcze nikt nie umarł. Cukru białego nie mamy, sacharynę zjedli Czesi, dla nas zostało trochę cukru złotego, czyli melassy. Do niedawna jeszcze raczyliśmy się nią, chcąc sobie bodaj w ten sposób żywot osłodzić. Ale od chwili, gdy ktoś ogłosił, że konie po użyciu melassy parazytują, wielu obywateli odrzuciło to od niej. Nawet moja pocztowa Weronika, wiedząc o tem, a widząc mnie pljącego lurę z owym złotym cukrem, zanudziła:

— Mój drogi!... Aby ci to przypadkiem nie zaszkodziło!...

— Zbytnią troskliwość — ja jej na to. — Co innego człowiek, co innego koń... Ten lubi i znosi to, tamten owo... Być może, że melassa źle oddziaływała na koński ustroj, ale to nie dowód jeszcze, aby mnie miała zaszkodzić! Zresztą spróbuj dać koniowi bułkę z kaworem lub befszytk z jajem, a przekonasz się, czy ruszy jedno lub drugie!... A my za tem tak prze-padamy!...

I to ją widocznie przekonało. Odtąd nie mówi nic, choć spożywam ową melassę, ale widzę, że się jej to nie podoba. Bardzo się też ucieszyła, gdy się dowiedziała o owym szwindlu z złotym cukrem na krakowskim dworcu (skradziono coś ze dwa wagony). Rzekła wiedziała wówczas do otoczenia:

— Dobrze się stało!... Nie będą truć biednych ludzi. Szkoda wielka, że nie skradziono wszystkiego!

Wytłumaczyłem jej, że nie ma racji, gdyż ten skradziony cukier kupujemy potem w pasku po daleko wyższych cenach, niż maksymalne.

Dla kompletu i z trunkowością ogólna kłapa i to na całej linii. Ale, wobec braku wieprzowiny, można się obejść i bez niej, nie narażając zdrowia bynajmniej na szwank. Wódki albo brak zupełny, albo niewiele warta, a bardzo droga (litr spirytusu stoosmdziesiąt koron, litr żydowskiej świętanej śliwowicy dwięście-sześćdziesiąt), plwo pod psem, o miodzie się nie słyszy, wyrób wina węgierskiego zupełnie ustał, nie wiadomo z jakich powodów, gdyż wodociągi mlejskie funkcyjują jeszcze dość sprawnie (ale chemikalia bardzo podrożały! przyp. zecera). Wiele „winnic“ zamknięto, a ich właściciele żyją z procentów od kapitałów, których deś nalykali się od początku wojny.

Myśleliśmy, że się napijemy po święconem jajku po kieliszku prawdziwej „gdańskiej“ za zdrowie wujaszka Willsona, niestety, Lloyd George był innego zdania i zaproponował nam w zamian „angielską gorzką“. Pojechał wprawdzie Paderewski do Paryża, aby mu to wytłumaczyć, ale, czy mu się uda, to dopiero przyszłość pokaże, a Liga narodów rozstrzygnie.

